



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Nowy-Świat Nr. 1250 (nowy 55).

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebnera i Spół., kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

Z MUSSETA

(le Saule).

Gwiazdo wieczorna, posłannico z dali,
Na niebios toniach, posepna i blada,
Gdzie płyniesz, wolno, wśród błękitu fali,—
Gdy mgła pomroka na tę ziemię spada,
A burza cichnie i milczące bory
Łzawemi perły oblewają wrzosa;
Gdy tylko motyl przelatuje skory,
Po wonnej łące pijąc krople rosy?
Czego ty szukasz na uśpionej błoni?
Ale już widzę, jak twój promień biały,
Smętna królowo nocnych cisz i woni,
Z uśmiechem żalu zapuszczasz za skały.
Gwiazdo, co błędzisz po cichej dolinie,
Smętna łąko srebrna z ciemności zasłony,
Za tobą tęskny wzrok pasterza płynie,
Gdy swoją trzodę wiedzie zamysłony;
Gwiazdo, gdzie pędzisz tak szybkimi loty?
Czy szukasz brzegu, by usłać twe łoże?
Pośród bezmiernej tej nocej tęsknoty,
Czemu tak piękna zapuszczasz się w morze?
Jeśli twą jasność przy dalekim brzegu,
W bezdenne tonie zanurzyć ci trzeba,
Gwiazdo miłości! powstrzymaj się w biegu
I choć przez chwilę nie opuszczaj nieba.

ADAM ASNYK

I POEZYJE JEGO.

(Dokończenie)

Jak promień światła przez mgłę, tak duch z wyższym zasobem żywotnym, duch twórczy, przebija się przez przejścia i żaloby życia, podnosi się ponad nie i wzbija, męźniejając. Ma coś do spełnienia na świecie, coś do wydania z siebie, i to uczucie jest dźwignią, która nie daje, aby go „ból pokonał“. Wewnętrzny proces ducha poety takim się być zdaje. *Tantal*, pragnienie, które nie daje się ugasić żadną wychyloną czarą, czy słodczy, czy goryczy piółunowej: niespoczywająca nigdy, karmi nowej wiecznie pożądająca siła życia, to przeciwstawienie *Endymiona*. Tytan „niech cierpi, pragnie, lecz niechaj wybuchą“ woła Asnyk w tym męzkim, silnym wierszu trzeciego tomu, który jest głosem namiętnie żądającym działalności, pracy, ruchu, życia czynnego. Niepodobna tu przecież dostrzedz tego przełomu pojęć, jaki Tretiak chce ustanowić pomiędzy tym tomem ostatnim a dwoma pierwszymi: przełomu żadnego niema, lecz są tylko stopnie w przebijaniu się światła przez mgły tęsknot i żalów, wypogadzanie się i męźnienie, wreszcie zwykłe dojrzewanie duchowe. Czyż w trzecim tomie jest i może być coś więcej nad wypełnienie przez poetę tego moralnego programu, którym jest poniekąd wiersz, stauowiący w wydaniu pierwszym poezji Asnyka wstęp tomu drugiego.

„Miejmy nadzieję! nie tę lichą, marną,
Co rdzeń spróchniały w watły kwiat ubiera,

Lecz tę niezłomną, która tkwi jak ziarno
Przyszłych poświęceń w duszy bohatera.

Miejmy odwagę! nie tę jednodniową,
Co w rozpaczliwym przedsięwzięciu pryska,
Lecz tę, co z wiecznie podniesioną głową
Nie da się zepchnąć z swego stanowiska!

Do tego, co nam mieć należy, poeta dodaje
czego nie należy nam utracić, co godzi się strzedz,
w głębi ducha swojego jak najdroższe dobro przechowując i dodaje:

„Lecz nie przestajmy czcić świętości swoje
I przechowywać ideałów czystość,
Od nas zależy dać im moc i zbroję,
By z kraju marzeń przeszły w rzeczywistość*.

Nie jestże to tasama przestroga, upomnienie to-
samo, co dane społeczeństwu przez poetę w wierszu trzeciego tomu, *Do młodych*:

Szukajcie prawdy jasnego promienia,
Szukajcie nowych, nieodkrytych dróg;
Za każdym krokiem w tajniki stworzenia,
Coraz się ludzka dusza rozprzestrzenia,
I większym staje się Bóg!
Ale nie depczcie przeszłości ołtarzy,
Choć macie sami doskonalsze wzniesić;
Jeszcze się na nich święty ogień żarzy,
I miłość ludzka stoi tam na straży
I wy winniście im cześć!

Głos to ów jest, wołający, aby „czcić świętości swoje“. Poeta, który w tomie drugim, grzmiąc jak Ezechiel, pyta *XIX wiek*, gdzie ma dla rze-

szy: „tę pociechę, której ona szuka, gdzie ma tę miłość, która ją rozgrzeszy?“ i dodaje:

„Daleś jej ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie daleś jej dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę:
Idealnego świata uczestnictwo“.

poeta ten mówi w tomie trzecim:

Tym, którzy smutni, tym którzy zgnębieni,
W milczeniu tylko i cierpią i giną,
Tym dla serc trzeba jaśniejszych promieni,
Nad idealną świecących krainą.
Trzeba im pociech, których nie da życie,
Trzeba anielskich uśmiechów w błękicie,
Trzeba litosnej nad światem opieki,
Trzeba miłości wiecznej, choć dalekiej.....

Asnyk rozumie wysokie powołanie, rozumie przeznaczenie poety w społeczeństwie, wie jaką w chwili walki i przełomu wyobrażeń jest rola jego i zaraz też, na następnej karcie, odzywa się głos poezji do poety:

Dałam ci moc nad sercem ludzi,
Moc której próżno przecza,
Gdyż ona łączy i zachwyta ludzi,
Wstrząsając pierś człowieczą.
Niechaj więc chłód i cisza głucha,
Wśród świata cię nie ziębi,
Najlepszy siew twojego ducha,
W serc cichych wejdzie głębi.

Poeta wierzy mocno w wieczną siłę i potrzebę idealnych pragnień i porywów człowieka; dlatego też nie utraci nic z nadziei swoich, nie boi się o przyszłość najdroższych swych ukochań i wzbija się wypogodzoną, spokojną istotą tam „gdzie ludzki duch wciąż płynie, w błękitne patrząc niebo“. Przez tę niezachwianą wiary w ideałów swych wieczność, zdobywa się poeta na spokój, który jednak bezczynnością i skamienieniem nie jest, na spokój mędrca spełniającego swoje dzieło, które wie, że jest dobrem i on, który nazwał to odwagą: „nie dać się zepchnąć z swego stanowiska“ on woła na wyłom pracy i żywego życia tych, którzy w zastoju widzi, i odzywa się do *Dzisiejszych Idealistów*:

Czyliż fałszywy wzbrania wam wstyd
Z obłoków zstąpić do ziemian,
I czynnie walczyć o dalszy byt,
Wśród życia wstrząśnień i przemian.
Czyliż sądzicie, że spadek wasz
Całą wam wieczność zapewni,
Iż odwracacie od ziemi twarz,
Bezczynni a jednak gniewni....
Wprawdzie bogaty wzięliście dział,
Przyjąć dziedzictwo gotowi,
Lecz on nie będzie na zawsze trwał,
Gdy zasiew żniwa nie wznowi.
Kto żyje z plonu dawniejszych lat,
Przeżuwa przodków dostatki....
Temu dowództwo odbierze świat,
A mienie wydrą wypadki.

Wiersz ten to odzew, to pobudka do pracy dla tych „przechowanych w czystości“ ideałów, to wyłożenie owej nauki:

Od nas zależy dać im moc i zbroję,
By z świata marzeń przeszły w rzeczywistość“

W najpierwszym, jednotomowym, w 1869 r. drukowanym, zbiorze poezji swoich, miłości to też Asnyk między życzenia, które dla społeczeństwa swego tworzy w wierszu *Nowy Rok*: „być z wieku potrzebą w zgodzie“. Nie znaczy to: ulegać wieku tego prądom wszelkim, ale znaczy jasno i niewątpliwie, że „potrzeby“ swego czasu uwzględnić

należy, że należy w kierunku tych potrzeb i wymagań z ruchem świata iść: po tej, czy owej stronie stojąc, działać i pracować — żyć.

Do piersi narodowej ucho przyłożywszy, słyszy poeta bijące tam tętna, ale wie, że jest on z tych którym „dana jest moc“ i używa jej. Choć epoka romantyzmu przemija, nigdy nie przeminie epoka poezji, ideału podnoszącego ludzką ponad byt materialnych jedynie zabiegów, trosk i używania materialnego, tę wiarę w wiecznie trwałe dla człowieka istnienie poezji w umyśle wszczepić i utrzymać w nich staje się jakgdyby jednym z zadań jego. „Co nieśmiertelne musi żyć, choć zmienia kształty zużyte“, woła na wstępie do tomu trzeciego w brzmiającym, pięknym wierszu: *Przeminał czas!* Przeminał czas tęczowej cudów powieści, rapsodów sławy i miecza, niema skrzydlatej husarii i bohaterstwa jasnego cudu:

Niezrozumiałym już się stał
Oreżny szcęk epopei,
Dla znikczemniałych, smutnych ciał
Bez męztwa i bez nadziei.

Ale człowiek nie może wyrzec się nazawsze „jasnego swego królestwa i nieśmiertelny ducha dar strącić w otchłanie nicestwa“

Więc z prochu, w który dziś się wpił
Na dawnych marzeń ruinie,
Zaczerpnie zapas nowych sił,
I znowu w niebo popłynie.

A w ten czas pieśń powstanie znów
Cudowną moc swą odświeży,
I z labiryntu ciemnych snów,
Na światło dzienne wybieży.
Roztoczy tęczę rajskich farb,
I nowe jutrznie zapali,
Najczystszy ludzkich natchnień skarb,
Na śpiewnej unosząc fali.
I nieśmiertelną życia treść,
Dobędzie z prochu i kału,
I rzeczywistość zdoła wznieść
Za sobą—do ideału!

Poeta każe też ludzkości przyzywać ją tęsknotą, gonić za nią upragnieniem, zdobywać ofiarą. „Warto, płacąc krwią i bólem, wejść w krainę ideału!“ — woła w *Baśni tęczowej* niewymownie wdzięcznym wierszu, oddanym lekką Heinowską strofą. Ona to, baśń urodzona z cichych gawęd piastunek, zaprowadziła go pod zaklęty zamek poezji, ona ukazała mu ją z gwiazdą na czole i sierpem księżycy pod nogami i woła on teraz na innych:

„Za nią! za nią!
Idźcie gonić, o rycerze!
Idźcie piąć się w górę, w górę!
Ponad ciemnych skał krawędzie;
Może przyjdzie ktoś szczęśliwy,
Co ją weźmie i posiedzie.
Choć nie dojdzie—choć padnie,
Jeszcze życia nie roztrwoni,
Bo najlepsza część życia
W takiej walce i pogoni.
Warto widzieć choć zdaleka
Ów zaklęty gmach z kryształu;
Warto, płacąc krwią i bólem,
Wejść w krainę ideału.
Gdyby przyszło mi nanowo
Od początku zacząć życie,
Biegłbym jeszcze poraz drugi,
Za tą piękną na błękicie....

Poważny, uroczysty, smutny wiersz *Na zgon poezji*, to poraz czwarty w tomie trzecim powracający pod pióro poety tensam przedmiot — przedmiot wielki i ważny jak skierowanie prac i chęci jednostek — narodu! Asnyk wie o idealności, o poezji:

Że ma żywot wieczny,
W piersiach ludzkości i natury łonie,
Że się odnawia w jasności słonecznej,
W ogniu młodości, co wieczyście płonie.

Dlatego też woła do wróżbitów, zgon jej głoszących: „Wy się nie troszczcie o nią!“ Dlatego i on, któryby zawsze biegł za nią, gdyby raz drugi zaczynał życie, może dla tej wiary głębokiej utrzymać ducha swego spokojną równowagę, ale wie niemniej, że „trudno milczeniem przeczyć skrycie“, że „trzeba zstąpić w sam środek burz, potrzeba walczyć o życie“, więc uderza potęgą słowa swego na duchy ludzkie, uderza umysły i serca w punkcie sporu najważniejszym. Co uchodząca poezja zabrałaby ze sobą?... „Wszystko, co żywi pokoleń nadzieje“ i poeta pyta tych, co świat ze złudzeń rozebrali do naga:

Czego ci trzeba dziś, posepny tłumie,
By piersi twoje napełnić otuchą?
Czego ci trzeba w kamiennej zadumie,
By łązy przywołać na źrenicę suchą?
Chóry anielskie, których twoje ucho,
Dosluchiwało niegdyś w pieśni szumie,
Te dziś przebrzmiały martwo, senn'e, głucho,
I serce twoje chwytać ich nie umie.
Tyś łązę zatracił, myśląc, że cię lepiej
Oslaniać będzie twój chłód i powaga,
Gdy świat ten z złudzeń rozbierzesz donaga,
I myśl się w prochu, jak robak zasklepi.
I oto zawsze niedola cię smaga,
Tylko cię żadna łąza już nie pokrzepi. (Sonet, str. 206, tom III).

Z poezji obrana ludzkość traci tak wszystkie pociechy swoje: nie umie zapłakać, nie umie chwycić uchem głosu chórów anielskich — modlić się. Religijność odstępkuje ludzi, gdy „myśl się w prochu jak robak zasklepi“ i poeta też broni z równą siłą tego kierunku ducha ludzkiego, tego kierunku ludzkiego uczucia. Asnyk jest naturą głęboko religijną. Przy pierwszym jego odezwaniu się, to jest w tym periodycie gdy tworzył *Sen grobów*, już znajdują się dwa wiersze przez myśl religijną natchnione, dwie poezje głębokie i jak rozpacz bolesne: *Asceta* i *Julian Apostata*. Bolescią smagany młody Tytan rwie się i miota przeciw niebu. Im wierzył goręcej, im pożądał silniej sprawiedliwości sądów Bożych, tem rozpaczniej w chwili strasznej ruiny ogółu swego wołał:

Bezplodne męki dostał w udziale,
Choć zawsze świadczył o Twojej chwale,
I dziś go czeka zagłada!
Taką robotnik twój bierze pracę?
Gdzież jesteś, Panie! z oczu cię trące,
I niebo Twoje przepada.

Julian Apostata wydaje podobny krzyk rozpacz i namiętnej boleści, gdy „perskie podjazdy przyszły rozstrzygać o losach“

O! przyjdzie chwila, w której o Tobie,
Gromady zwątpią cierpiące,
Gdy ujrzą na swych nadzie i grobie,
Jak ja dziś—niebo milczące!

Ale już zaraz na początku tomu drugiego znajdziemy niewypowiedziane piękny wiersz: *Pod stopy Krzyża*, nieprzewyższony w wyrazie swej boleści, w wyrazie swej tkliwości i rezygnacji smutnej przez żaden z naszych utworów lirycznych: „Odkąd mi zbrakło ojczyzny i domu, nie otworzyłem mej duszy nikomu! — woła poeta i idzie pod stopy Chrystusowe otworzyć tę szlachetną duszę swoją i odkryć Bogu jak tracił wiarę, miłość, nadzieję i jak odzyskał je znowu:

Wzrok mój padł w bezdenne otchłanie,
A Tyś mi zniknął na krzyżu rozpięty,
Zpośród pokoleń rozrzuconych kości,
Za ciemną chmurą krwi, łez i nicości!

Czytelnicy naszego pisma znają w całości tę poezję najtkliwszego uczucia. Krzyżyk zawieszony macierzyńską ręką na szyi syna, daje mu pomoc w chwili okrutnej. Ten małeńki krzyżyk z kości słoniowej sprawia, że poeta słyszy głos Boga:

— „We mnie jest spokój i we mnie jest życie!“

Jest nieśmiertelne życie w wierze i nadziei, jest przez nie ucieszenie się serc zboliałych. Bóg, najwyższy ideał ludzkości, nie przeminie nigdy dla niej, bo nigdy nie przestanie być najwyższą potrzebą serc ludzkich. W tomie trzecim daje poeta dwa przepiękne, niewypowiedziane spokojne i szlachetne świadectwa tej prawdy. *Likofron do Fatum*, przyjacielowi w upominku braterskim ofiarowany wiersz, znają już też czytelnicy „Bluszczu“. Ślepe Fatum, z którym po zgubieniu Boga z przed ducha swego, — człowiek pozostał sam nasam, mając pod nogą otchłań nicości, nie może rządzić długo światem, bo sam ten człowiek, niewolnik owej mocy okrutnej która „nikogo nie karze i nikogo nie nagradza, lecz wszystkim wyznacza miarę koniecznej męki“, człowiek, straszliwie nieszczęśliwy bez Boga, straci je, a spadająca z błękitów maska odsłoni znów Tego, który z miłością wciąż wyżej po szczyblach przemian prowadzi światy.

Bóstwo tajemnicze, wiersz drugiemu poecie patriotycznego narodu, Jarosławowi Vrchlickiemu, poświęcony, kładzie wspaniałą nacisk na tę religijną, ponad trwogi wszelkie wzniesioną wiarę poety. Wali się do starej świątyni Boga „tłum zdziczały“ chce niszczyć, podnosi młot i ciska na ołtarz głównie pożogi, a wtedy głos Boga odzywa się, powiadając, że „Boskiej Istoty nie zniszczy żaden gwałt“

W minionych wieku ciągu
Nieraz już ludu złość
Mściła się na posągu....
Cierpiałem gwałtów dość!
I nieraz dzikie zgraje,
Wydały mnie pożodze,
A zawsze większy wstaje,
Piękniejszy z ruin wschodze.—
Mnie topór nie powali,
Chociaż rozbija głaz.
Lecz kształt mój doskonały
Každy zadany raz.
Zniszczenie mnie odmładza,
I ogień mnie oczyszcza;
Padając, moja władza,
Wyrasta silniej z zgliszcza.
I zgina znów kolana,
Przedemną cały lud,
A ciąga ta przemiana,
To mój najwyższy cud!....

Asnyk kładzie palec w każdą ranę swego wieku, swego narodu i dlatego poezja jego staje się coraz szerszą i wspanialszą. Wszystkie pożądania, nadzieje boleści ogółu swego przeprowadził przez własne serce, przez serce swe młode, wiążąc z niemi „marę szczęścia znikomą“ lecz zwolna duch jego wyrasta wyżej. Ta, od której „dostał moc“ rajska jego pani, powiada mu: „Nie żądaj nic dla siebie“ i on też dochodzi do tego wysokiego stanu ducha. Smętny, surowy wiersz: *Ociemniały Thamirys*, wypowiada, co starość po istnieniu tak spędzonym ma pociech wzniosłych. Jestto coś jak „smutne szczęście“ Ossyana, czy Mac Phersona, jak „nieszczęśliwe szczęście“ Żmichowskiej. Poeta przystaje na to uspokojony, uciszony w sercu własnym, daje dar otrzymany, bogactwo swego ducha narodowi swojemu, i za panowanie nad duszami jego ludu mienia to wszystko, co jest dla innych życia rozkoszą. Nie wątpi, że to istnieje, nie zaprzecza, tylko dla siebie tego już nie szuka, nie bierze. W pięknym wierszu: *Nie mów*, zakazuje zwątpienia. Nie wyschły źródła bijące rozkoszą, jest na ziemi miłość czy-

sta, jest szczęście, jakkolwiek ten i ów go nie posiadał:

„Zdrój czystych uciech będzie innym szumiął,
I inne serca poił swą słodyczą....“

W tomie trzecim poeta coraz-to mniej patrzy w siebie, a coraz więcej w społeczeństwo i przeslicznych poezyj jego miłosnych ledwo że kilka: *Barkarola*, *Dzieje piosenki*, *Miłość jak słońce*; ten ostatni wiersz zakończy się tem, jak miłość siłą wspomnień może jeszcze starczyć życiu i oświecić je.

Miłość jak słońce—choć zajdzie w pomroce,
Jeszcze z blaskami srebrnego miesiąca
Powraca smutne rozpromieniać noce,
I przez ciemności przedziera się drżąca,
Pełna tęsknoty i cichej żaloby,
By wieńczyć śpiące ruiny i groby....“

Sercu, któremu nakazuje nie podnosić głosu (*Ucisź się serce*) otwiera na uchronę i przystanek cichy szczęście tych, co żyć mogą w przyszłości; wie on, że zasiał w jej łono szlachetny kwiat uczuć i myśli swoich i mówi sercu:

„Wszędzie coś znajdziesz z swoich snów,
Z uczuć straconych i rojeń,
I z kochankami będziesz znów
Pić słodycz świeżych upojeń.
Będziesz, gdzie ludzkiej myśli zdrój
W niepowstrzymanym rwie biegu;
Gdzie się rozstrzyga duchów bój,
W walczących staniesz szeregu.
Gdzie płynie skargi rzewny głos,
Tam będziesz—i będziesz z temi,
Co chcą polepszyć ludzki los,
I szczęście przynieść ziemi....“

Asnyk jest w tej pełnej chwili twórczości swojej, która przy spojrzeniu w jego poetyczne kreacje, pozwala zaledwie na kilka szkicowo rzuconych rysów. Przecież z blasku i czystości tego światła, które ciska gwiazda jego muzy, oenić w zupełności możemy działalność i znaczenie jego poezji w literaturze naszej, a powiem nawet: doniosłość ich i znaczenie dla naszego moralnego rozwoju w tej chwili czasu. Działa on silnie nie tylko na serca, ale i na umysły. Nie jeden młody, w szranki życia wstępujący zapaśnik, wzruszy się a potem zaduma nadtem, co poeta podaje mu tak szlachetnie, w tak pięknym i dostojnym myśli swych wyrazie. Do najcenniejszych przymiotów jego należy ten spokój pogodny, który mu pozwala objąć sądem beznamietnym szerokie życia zakresy. Oddaje Bogu co jest boskiego, oddaje wszystkim ludziom dobrej woli, co na dział ich zasługi przypada. Wierzy w cnotę, w uczucie, w poświęcenie, wierzy w rozum, w siłę myśli i umie się doszukać tego, co obok idei wieku jest niezłomnością praw ludzkiego ducha. Sprawiedliwy, rozumny, głęboko tkliwy i kochający gorąco, ogrzewa nam serca i nieraz uspokoić je umie. Na ostatnich już kartach trzeciego tomu jego poezji, znajdujemy wdzięczny i dobry wierszyk, napisany w pamiętniku zapewne jakiejś młodziutkiej, zasłonej życia ciekawie odchylić pragnącej dziewczeczki:

Nie pytaj próżno o przyszłe losy,
Nie pytaj!
Lecz otwórz ducha pogodne oczy,
Na wszystko piękne, co cię otoczy.
W promieniach słońca i w kroplach rosy
Zakwitaj.
Nie zdzieraj szczęścia urojeń wiotkich
Nie zdzieraj!
Ani nie badaj nazbyt ogłędnie,
Czy ten kwiat wonny w ręku ci zwiędnie,
Lecz póki pora z kielichów słodkich
Miód zbieraj.

Przechowuj w sercu szlachetną miarę,

Przechowuj!

I żyj miłością swego narodu,
A w chwilach smutku, w chwilach zawodu,
O idealną oprzeź się wiarę,
Jak powój....

Marya Ilnicka.

NA BIALSKIM ZAMKU

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

Z czasów Augusta III-go

przez

Józefa Ign. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Podłowczemu wypadło z ową faską losiowego mięsa i jałmużną przedświąteczną zajrzeć aż do celi gwardyana. Osobliwym trafem zastał go samego, co się zdarzało rzadko, przechadzającego się po celi z różańcem w ręku.

Po przywitaniu i ucałowaniu ręki p. Marcyana powiedział z czem był posłany; wyliczył tyńfy na stole i oznajmił przybycie faski, za którą ks. Remigian podziękował.

— Jutro zaraz pójde na zamek podziękować benefaktorowi naszemu, księciu jegomości, za to, że o ubogich sługach bożych nie zapomina, którzy za niego modlą się i modłów zanoszą nie przestaną.

To rzekłszy, sięgnął ks. Remigi do szafeczki i uśmiechając się, zaproponował posłańcowi lampeczkę miodu, której on nie odmówił.

Poczem siadł sam przy stoliku i zaprosił podłowczego, aby usiadł.

— No—coż tam u was słyhać?—zapytał.

— Dzięki Bogu—nie, rzekł Marcyan—bo gdy u nas co słyhać, najczęściej nic dobrego. Lepiej że cicho.

— Książę chorąży zdrów?

— Niedomaga jak zawsze, ale gorzej nie jest.

— Dla starych zima zawsze ciężka do przebycia—dodał gwardyan—i chwilę pomilczawszy, jakby od niechcenia, wlepiając oczy w podłowczego, zagadnął go:

— Co się z asindzieja bratem Damazym dzieje?

Schwytany niespodzianie tem pytaniem, Marcyan musiał się namyślić z odpowiedzią. Nie chciał kłamać przed osobą duchowną, a i całej prawdy wyznać mu nie mógł,—bąknął więc:

— Był w Lunewilu, lecz się lekam, że tam nie wytrzyma. Wielka-by szkoda była, bo tam łatwo mógł wyjść na statecznego człowieka i wielu się rzeczy nauczyć.

Gdy to mówił i spoglądał w oczy gwardyana, zdało mu się, jakoby w nich dostrzegł wyraz, który domyslać się kazał, że o Damazym, teraz właśnie, wspomnił niedarmo.

Ksiądz Remigi umoczył usta w lampeczce, otarł je wielką swą chustą czerwoną i zadumał się.

— Gdyby z Lunewilu uszedł, a powrócił—rzekł po chwili—trzeba mu radzić, aby—szukał sobie gdzie przy dworze zatrudnienia; tylko nie u nas, bo tu dla niego nie byłoby zdrowo.

Pomilczał trochę gwardyan i dolożył:

— To się mówi na wszelki wypadek. Damazy gorączka jest, a przy księciu ludziom gorącym wytrwać trudno, bo i on porywczy jest i niecierpliwy.

Spojrzeni na siebie, a Marcyan już wstrzymać się nie mógł. Zbliżył się, całując rękę księdza Remigiego i rzekł otwarcie:

— Ojcie gwardyanie, niedarmo mi zdrową radę tę dziś dajecie. Co ja przed wami taić się mam? Damazy (zniżył głos) się tu przywłókl wczora, ja-m go zmusił, żeby sobie jechał, gdzie chce; .boję się, czy mnie posłuchał, choć dziś go tu niema. Uśmiechnął się gwardyan.

— Wiem—rzekł—widziałem go i domyślasz się dobrze, iż dlatego o niego zagadnął. Tak jest, był u mnie raniusienko, starałem się go skłonić, aby tu nie długo popasał, ale to szalona pałka.— Zachmurzył się podłowczy.

— Ten człowiek — zawołał — siebie i nas obu gotów zgubić. Z księciem żartów niema, a on mu się łatwo narazić może — ale kto go przekonał! Wczoraj gwałtem chciałem namówić, aby precz jechał: posłuchał więc mnie pozornie, z gospody się ruszył, a pewien jestem, że gdzieś w miasteczku lub okolicy się ukrywa i—piwa nawarzy.

Załamał ręce podłowczy.

— Ojcie gwardyane dobrodzieju—rzekł—gdyby się znowu kiedy tu zjawił, wytrzyjcie mu dobrze kapitułę. Prędzej was, niż mnie on posłucha. Nie chcę mówić nawet, co go tu przyciągnęło.

— A no—wiem ci ja! wiem! — ręką dając znak, odezwał się gwardyan — nie macie potrzeby się spowiadać. I nagle urwawszy, weselszym głosem dodał gwardyan:

— Pan Bóg łaskaw, ochroni go od złego i natchnie rozumem. Nie frasujcie się zbytnio.

Tak zakończył nagle ksiądz Remigi, i o lesie, łowach, śniegu i zwiastującej się zimie mówić począł umyślnie, aby Damazemu dać pokój. Podłowczy ledwie przytomnie umiał odpowiadać, tak go poruszyło to, iż się o bracie dowiedział od księdza gwardyana, niewątpliwie już, że się będzie w miasteczku gdzie przechowywał. Gdzie? odgadnąć było trudno.

Z posępną twarzą pożegnał Marcyan ojca gwardyana i puścił się napowrót do zamku, gdy w ulicy, oko w oko zetknął się z Pawluczkiem, wyrostkiem Damazego. Poznawszy go, gdy ten chciał się schronić w podwórko, aby uniknąć Marcyana, chwycił go za opończę i zatrzymał.

— Co ty tu robisz! pan, gdzie? — zawołał, — prowadź mnie do niego.

Chłopcu ze strachu i frasunku cała twarz się zczzerwieniła i drgała.

— Nic nie wiem, — zawołał, — pan pojechał, mnie zostawił.

— Gdzie?

— Ja nie wiem jak się gospodarz nazywa na Wólce.

— A pan dokąd pojechał?

— Nie wiem.

W wielkim gniewie, już się porywczy dosyć podłowczy zabierał grmotnąć chłopca, aby go zmusić do gadania, gdy ten pochylił się, wysunął mu się z pod ręki i pomknął jak strzała. Gonić za nim ani podobna było.

Chłopak ten był najlepszym dowodem, że Damazy nie posłuchał brata i wprosił się gdzieś w komorne do mieszczanina. Szukać go w miasteczku, czy na Wólce, gdzie miał być, nie było sposobu. Musiał więc podłowczy, Bogu poleciwszy brata i siebie, powracać z niczem, ale ze srogim niepokojem w duszy!

Nie ulegało wątpliwości, że Damazy dlatego tylko tu pozostał, aby starać się wkraść do zamku i widzieć z Faustysią. Groziło to największem w świecie niebezpieczeństwem, pochwycciem, zuchwałego i, conajmniej, wtrąceniem po do więzienia, z którego nie było przykładu, aby się kto wyprosił.

Znał dosyć Damazego brat, aby nie mógł powątpiewać, iż ważyć się będzie na najśmielszy krok, aby się do Faustynki dostać. Zapobiedz temu — nie umiał.

Zrozpaczony, przywlokł się napowrót do zamku, do swej izdebki, i usiadł przy ogniu, niezdolnym będąc o niczem myśleć, ni się zając czemkolwiek.

W obu skrzydłach Zamku Bialskiego, które się z korpusem samym łączyły, mieściła się bardzo liczna służba, czeladź, dwór księcia chorążego.

Pan, który nadwornego wojska, oprócz nieregularnych, trzymał z górą trzy tysiące, bolejąc, że bratu hetmanowi, mającemu dziesięć tysięcy, podolać nie może, nie obchodził się też małą garkstką około osoby swojej. Rozmaitego powołania i stopni kręciło się przy nim ludzi siła, szczególnie ubogiej szlachty zaściankowej zpod Słucka. Nie odstręczała nawet znana surowość księcia, który nią innych swych pokrewnych przechodził,

Hetman i krajczy (szczególniej ostatni), dokażywał też i łatwym nie był w pożyciu, i mściwym a porywczym, ale gniew jego przechodził niekiedy, dawał się ubłagać; gdy u księcia chorążego zjadłość z uporem nieprzełamanym połączona była.

Przebaczać nie umiał.

Wszyscy bracia wiele mieli podobieństwa w charakterach, a właściwiej rzekłszy, w temperamentach, bo w wybrkach, których się dopuszczali, więcej było gorącej krwi, niż rozmysłu. Może z powodu tej analogii usposobień, Nieświezki i Bialski krzywo na siebie patrzali. Nie byli skłóceni z sobą, nie waśnili się jawnie, ale nie lubili się wcale. Co Nieświezki zbroił, potępił Bialski książę, i nawzajem. Godzili się tylko na jedno: szalone życie księcia krajczego Czarnawczyckiego potępiali i w kuratelę go wzięli w końcu.

Grała krew w tym rodzie, która na polu rycerskich popisów, cudów-by była może dokazywała, a w życiu powszednim, objawiała się potwornymi dziwactwami. Już w dawniejszych wiekach u tego rodu Radziwiłłowskiego, niepokój jakiś duszny był znamięm; puszczał się Sierotka do Jeruzalem; Rudy chwycił nową wiarę; Stanisław Albrecht fanatycznym nabożeństwem życie zapełnił; nie było prawie jednego, któryby, z losem swym spokojnie się przejednał, wysiedział w miejscu i ograniczył się pospolitym trybem żywota. Gorączkowego im a niezwyčajnego czegoś było ciągle potrzeba, pieli się do góry; sięgali wysoko; szumu i wrzawy łaknęli.

Na Litwie panowanie zwolna stało się zadaniem Familii Radziwiłłowskiej i prawie zdobyczą jej dokonaną. Opierały się inne rodziny tej hegemonii Radziwiłłów, ale napróżno. Walczyć z nimi było trudno.

Książę Chorąży, według swojego przekonania, stał naczelną rodziny, a może to go od brata hetmana odstręczało, że Nieświezki pan też sobie do tego prawa rościł. Ze dworem, z królem, z Brühlem byli jaknajlepiej, to im też pewną siłę dawało. Umysłowo nie stojąc wysoko, w politykę głęboko się nie zapuszczając, mieli siłę ogromną w zasobnych skarbcach i milicyi, w posłusznej szlachcie i klientach niezliczonych.

Biała, naówczas jako rezydencja księcia chorążego, świetną była, jak nigdy, i mogła prawie z Nieświeżem iść o lepsze. Lecz, dwór i życie tu tejsze różniły się wielce od tego, jakie prowadził książę hetman. Smutniej tu i poważniej wyglądało.

Nie młody już, po raz trzeci żonaty, bezdzietny, schorowany, choć silny jeszcze, ks. chorąży ledwie już mógł się ludzi potomstwa nadzieją. Wprawdzie trzymał się dobrze, nie poddawał się chorobie, życie prowadził czynne, mógł sobie obiecywać wiele i inni go w tem przekonaniu utrzymywali, lecz w otoczeniu księcia nikt nie wierzył w to, aby się stan rzeczy na lepszy odmienił.

Wszystko w Białej pod srogim trzymane było rygiorem, niemal wojskowym. Dwór cały ulegał surowej kontroli i najmniejszej samowolności nikt się nie śmiał dopuścić.—Karano srogo.

Sama nawet księżna obawiała się męża; cóż dopiero inni, którzy trochę dalej stali, a mniej łasce jego ufać mogli?

W lewem skrzydle pałacu, na piętrze, nieopodal od korpusu głównego, w rzędzie okien, szeregiem przez całą długość jego idących, łatwo było wyróżnić te, które mieszkanie pani Zaborskiej oświecały. Purpurowe z białem firanki i zielone liście doniczek, pięć tych okien wyróżniały od innych.

Osobne drzwi i wschody z podwórza prowadziły do tak zwanej „pani starszej“ nad bielizną książęcą. Nie bardzo była rada Zaborska temu, że ją „starą“ nazywano, ale winna była tytułowi temu pozorne stanowisko swoje przy dworze.

Wszedłszy na górę, dostrzegało się pewną elegancją, z jaką lokal Zaborskiej był utrzymywany. Inna służba pańska na taki popis z zamożnością nie byłaby się ważyła; jedna ona nagany się za to nie obawiała.

Miała i przedpokój jasny i izbę gościnną w meble stare i piękne strojną. Tu i zegar szafkowy gdański z kurrantem i para komód wykładanych drzewem farbowanem i perłową macią i stół mo-

zajkowany, i krzesła pozłociste i kobierce wcale zbytownie były porozkładane i rozstawione.

Na komodach szkło, porcelana i kubki srebrne stały. Wyglądało tu do zbytku pańsko.

Zatem pokój samej Zaborskiej niemniej był wychuchany, a cacek w nim świeciło więcej jeszcze. Dwa zwierciadła weneckie duże wisiały na ścianach.

Przez kurrytarzyk wązki przejście prowadziło do dwóch pokoi, na ogród i wały obróconych, w których córka Zaborskiej mieszkała. I tu też niemal zbytownie ozdobione były, choć niewielkie komnatki. Pierwszej ściany okrywała jedwabna materya, nieco spłowiała, niegdyś kosztowna bardzo, drugiej świeży adamaszek niebieski zdąłby się być choć u króla.

Ruchomości, równie jak u starej, zdradzały pochodzenie książęce, choć Zaborska nieustannie to powtarzała, iż wszystko, co u niej było, własnością jej się stało.

— Co komu do tego! książę pan mi podarował; mam czarno na białem. Wszystko to moje.

Ludzie powiadali, iż zapobiegliwa niewiasta coraz więcej tu sprzętów powoli ściągala i starała się o pomnożenie tych ruchomości. Tem więcej się im dziwić było można, iż wszyscy niezbyt dawno pamiętali jejmość w nędznej chacie, w sukniach wyszarzanych, ratującą się kredytem u żydów. Teraz, gdy się raz na zamek dostała, łaski pańskie i dary rosły z dniem każdym.

Stara jejmość, którą w jej pokoju samą zastajemy, choć zbyt wiekową nie była i nie miała lat więcej nad pięćdziesiąt, na twarzy przecieć zachowała ledwie ślady dawnej piękności, życiem gorączkowym rychło zniszczonej. Dwoje pięknych oczu czarnych zostało jej ze wszech wdzięków znikłych bezpowrotnie. Stroiła się jednak, sznurowała, bielila i malowała, zdając się mieć jeszcze jakąś nadzieję wydania się za męża. Pomarszczona twarz z usznurowanemi ustami, przedłużona chudością, brzydszą się jeszcze stawała, niżby być mogła, nieustannemi grymasami, poruszeniami, drganiem i krzywieniem się, którem Zaborska pewnie upiękniać się chciała.

Teżsame ruchy niespokojne czasu rozmowy przybierały ręce jej chude i długie, a nawet wykrygowana kibić, przeginająca się z żywocią, mającą młodzieńczą naśladować.

Zaborska lubiła mówić dużo, mówiła żywo, dramatycznie, głosem śpiewnym, cieniowanym, zbytownie podnoszonym i zniżanym. Zbliżała się przytem do słuchacza, dopomagając wyrazowi mowy, gestami dobitnymi, niekiedy nawet za suknie chwytając, jeżeli się od niej oddalić usiłowano.

Znać w niej było jeden z tych niewieścich temperamentów gorących, które z wiekiem, zamiast ostygnać, znajdując ludzi chłodniejszymi coraz, stają się przez to nieznośniej napastliwemi.

Godzina była przedwieczorna. Zaborska siedziała na małej kanapie u okna, przed stolikiem, który drgał ciągle, rękami i nogami poruszany. Prowadziła bowiem rozmowę z mężczyzną, stojącym przed nią z czapką w rękę, który albo świeżo przybył, albo zabierał się do odejścia.

Gość ten, lat średnich, prędzej podstarzały niż młody, mógł się jeszcze pochwalić piękną, męzką postawą i wyrazem siły w niej całej. Trzymał się żołniersko wyprostowany, nie bez pewnego wdzięku, choć twarz, śniada, blada, ospą oszpeciona, wcale piękną nie była.

Odziany dostatnio, nie miał na sobie barwy dworu, choć musiał należeć do niego, bo się tu dumnym zdawał i szabli nawet u pasa nie miał.

Zaborska patrzała mu w oczy pilno, a mówiła jak kołowrotek burząc bezustanku.

— Niech sobie robią co chcą, niech gadają co chcą! O nic nie dbam, śmieję się z tego. Trudno, żeby nie zazdrościli, kiedy widzą, że książę pan tak na nas łaskaw. Wiedziałam ja zawczasu, że stolki mi przystawiać będą, że posłuchy pójdą, że wysadzić mnie się postarają. — A no, niedoczekanie ich, powiadam koniuszemu, niedoczekanie! nic mi nie robią, nic!

Zaczerpnęła trochę powietrza i terkotała dalej:

— Siadaj że-bo, Łukszta, jaki ty jesteś, siadaj! Weź krzesło,

— Czasu nie mam.

— Co tam, czasu nie mam? na chwilę siadź. Słuchaj, bo to komedye są prawdziwe. Pedam, komedye! Niechaj to zostanie między nami. Poszli na mnie dziwolagi wymyślając do księżny. Już co skomponowali: domysleć się łatwo. Więc księżna pani, dobrawszy chwili do księcia, żeby Zaborską do Zawieprzyc z córką odesłać, a tam jej pan wojewoda Czerniechowski da dworek i ogród...

Rozśmiała się hałaśliwie.

— Ale, słuchajcie! — dodała, — książę się zaczerwienił, usta wydał, jak to on umie, ręce w tył założył, bąknął tylko — Ale! — i przez tydzień do księżny nie gadał. Ot, na czem się skończyło! Ot! A oni sobie myślą, trutnie jakieś, że mnie ztąd wysadzą!

Łukszta, wąż pokręciwszy, pochylił się ku niej.

— To się wie, — rzekł, — że oni zrobić pani mojej nic nie mogą; ale tylko jednej rzeczy się obawiać...

I pochyliwszy się jeszcze więcej, począł szeptać tak cicho, że go chyba jedna Zaborska słyszała.

Gdy skończył porwał się niecierpliwie.

— A od czegoż ja jestem? — zawołała, — z oka na chwilę nie spuszczałam, na krok nie odstępuję. O! o! mądry będzie, kto się do niej dostanie! Licha zjedzą, nim co skomponować potrafią. Z palca nie wyssać. A ona też ochoty nie ma najmniejszej do ludzi. Słowo daję. Siedzi po całych dniach, na krośnach szyjąc, nawet że masz do Fary na nabożeństwo ledwie gwałtem ją wyciągnąć.

Pan koniuszy Łukszta wstał, jakby chciał odchodzić.

— Czekajże! — wyciągając ku niemu chudą rękę, zawołała Zaborska. — Czego-bo się tak spieszysz. Cóż ten Wolski? co Wolski? mów!

— Ja się i imienia jego wymówić boję, — odezwał się z suchym półmieszkciem Łukszta, — na kogo spojrzę, ciarki przechodzą. Z nim nam wszystkim trudno.

Zaborska się zamysliła.

— Ale ze mną on dobrze, nie może być lepiej. Kłania się, kłania! oho! Wie on z kim jak poczynać!

— Chytry! — szepnął Łukszta, — układa się, ale z nim jak z ogniem.

— Ja się go nie boję, — przerwała gospodyni.

— Pewnie, a zadziwiać się też niewarto.

— Chybaby sam zaczął; inaczej nie myślę do wojny wyzywać.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Wiedeń, w Grudniu 1881 r.

Nieszczęście, współczucie i litość. — Sprawa bezpieczeństwa życia. — Germanie przeciw Słowianom. — Wystawy: stolarska, pracy kobiet. — Telefon. — Wykłady publiczne.

Czy trzeba Warszawie pisać jeszcze o cudzych nieszczęściach? Zdaje mi się, że trzeba. Trzeba spojrzeć w oczy cywilizacji, jej wynalazkom, ulepszeniom, rozrywkom, trzeba rozważyć, jak to siła żywiołów nad ludźmi panuje, dlatego, że ludzie folgują złemu. Bo oto, jeżeli przyczyną pożaru Ring-teatru był przypadek, to przyczyną okropnego nieszczęścia, że kilkaset ludzi uduśiło się, lub spaliło, była ludzka niedbałość, lekkomyślność, brak należytego bezpieczeństwa, brak przytomności umysłu, dezercya z posterunku obowiązkowego tych, w których rękę leżało ocalenie. Przebiegu i rozmiarów klęski opisywać nie będę, ale nim się stała, już ją opisał Hoffmann w swoich powieściach fantastycznych. W ów wieczór 8 Grudnia grano własnie operetkę ostatnią Offenbacha, a jej osnową są te powieści, w których czytamy: „Zdawało mi się, że widzę wkoło oblicza ludzkie, ale bez oczów, wypalone jamy; wpadłem do pokoju, ale zaparł mi drogę duszący dym... dojrzałem ojca spalonego, matkę omdlałą. Snopy płomieni wiro-

wały z prędkością burzy; spalił się cały dom, zostały tylko mury czarne... Porwał ciało i biegł po schodach na dół... tu leżał już S... a piersi i głowę miał poranioną od główki i szkła z okien. Szał ogarniał wszystkich... Pobiegł znowu na drugie piętro, ale wszystkie drzwi były zamknięte. Głosy: pomocy, ratunku, słabły coraz więcej. Drzwi na galerjach także były zamknięte, wybił je, na poręczach wisieli ludzie...“ i t. d. Oto epizody z powieści, które wszystkie się spełniły, tylko na taką skalę, o jakiej nawet Hoffmann nie marzył...

Najważniejsze były dwie sprawy. Najpierw zapewnienie losu sierot, wdów i starców pozostałych po ofiarach. W kilku tygodniach złożono przeszło milion; jestto fakt pocieszający. Najwięcej dał *bank krajów* (gubernator jego Wodzicki): 15,000 zlr., i związany z nim bank paryzki Société de l'Union générale 300,000 franków, oraz Amerykanin osiadły tutaj, Soettel, 125,000 zlr. Ten musiał potem uciec: tak go wyzyskiwacze wstąpił obsiedli.

Drugą sprawą jest obmyślenie bezpieczeństwa wszędzie, żeby ile możności klęskom takim zapobiedz. Z pomysłów i projektów przeliczonych przedstawiają się jako konieczne i praktyczne następujące:

Wszelki budynek na publiczne widowiska przeznaczony powinien stać osobno, do żadnego innego nieprzytykać. Naokoło na wszystkich piętrach powinny iść kurytarze szerokie, z oknami dużymi nazewnątrz, a dopiero z nich wejścia do sali. W oknach powinny być stale umocowane, po murze idące drabinki żelazne, takieżsame i w samej sali. Na każde piętro powinny prowadzić osobne schody zzewnątrz i naokoło powinno być wiele szerokich wyjść o drzwiach otwierających się na obie strony bez klamek. Napisy nad każdymi drzwiami, ogłoszenia o środkach bezpieczeństwa, ażeby publiczność z niemi była poznamomiona i mogła je sama kontrolować. Pożądaniem jest oświetlenie elektryczne, a jeżeli gazowe, to osobnych kilka gazometrów dla sali, osobne dla sceny, w każdym razie zaś oprócz tego liczne pomocnicze lampy olejne, ale tak ochronione, żeby powietrze do nich tylko z zewnątrz dochodziło, inaczej bowiem i one w dymie mogą gasnąć. Wszelkie lampy oświetlające scenę, kulisy, sufitu winny być zapalane na dole, a potem dopiero w bezpiecznych ramach i łożyskach wyciągane na górę. W budynku niepowinno być żadnego składu dekoracji i przyrządów, ani też maszyny parowej, ale w osobnym, zupełnie oddzielnym ogniotrwałym zabudowaniu. Wszelkie wewnętrzne i zewnętrzne schody powinny być mrowane, kamienne, lub żelazne. Nad sceną i nad salą widzów kilka rezerwoarów z wodą tak urządzonych, żeby każdej chwili deszcz na całe wnętrze budynku mógł zostać spuszczoney. Kurtyna żelazna, druciana zawsze powinna być w użyciu. Wszelkie dekoracje i lekkie kostiumy powinny być chemicznie nasycane, tak, żeby nawet w razie ognia nie chwytaly płomieni, a co najwyżej powoli się zwęglaly. Nad sceną powinna być osobna łoża, z osobnym wyłącznikiem dla siebie wejściem zzewnątrz, a wewnątrz tak osłonięta, żeby nawet wśród pożaru można z niej, nawet gdyby wszyscy zresztą przytomność stracili, kurtynę żelazną spuścić, kurki wodociągów i rezerwoarów pootwierać i ratunkiem kierować. Na godzinę przed przedstawieniem powinni już być na miejscu inspektorzy bezpieczeństwa, administracyjni, techniczni i codziennie sprawdzać: czy wszystko w porządku. Za sceną i w kilku osłoniętych niszach sali widzów powinni się znajdować podczas całego przedstawienia strażacy, zawsze po dwóch, trzymający w rękach węże wodociągów, mogące za odkreśnieniem kurka bezzwłocznie ogień zalewać; nadto w sali na każdym piętrze powinni się znajdować zawsze liczni na wypadek niebezpieczeństwa komendanci ratunku, znający doskonale budynek, działający zgodnie, mający prawo rozkazywać, objaśniający, informujący, przytomni. Liczba widzów powinna być ściśle ograniczoną, a w sali możność swobodnego poruszania się. Wszelkie *feerye* ognie, powinny być z zamkniętych budynków wykluczone, a dozwolone tylko w arenach otwartych, w których scena, jak u Greków, powinna

być osobnym budynkiem, a osobnym amfiteatr. Wpływałoby to i na przywrócenie teatrom ich właściwego, godnego charakteru, który w stolicach zwłaszcza spada i przecudacza się przez owe właśnie *feerye* i fantazyje bez treści.

Są to wszystkie sposoby i środki łatwe, nie nadzwyczajne, i przyznam się, że do teatru nieodpowiadającego tym warunkom trudno się odważyć. Wreszcie wszystkie dyrekcyje publicznych widowisk powinny być także majątkowo odpowiedzialne za wszelką stratę, którąby widzowie z przyczyny braku bezpieczeństwa ponieśli. Dla złagodzenia zaś nędzy powinienby wejść w życie nowy rodzaj *assekuracyi życia* swego lub swoich na wypadek nieszczęścia w teatrze. Rozumie się, że nie wymieniłem tu zwykłych, i dotąd już zwykle nakazywanych, środków bezpieczeństwa. Równocześnie z tym wypadkiem pożarowym odbywała się w Wiedniu walna batalia *Germanów* przeciw *Słowianom*. Trwa walka już trzy lata, ale teraz sądzili rehtowni Niemcy, że przeciw obalą rząd w którym zasiadają Polacy, obalą parlament, któremu przewodniczy Polak, Czech i Słoweniec. Sądzili, że kłamstwem, potwarzą miotaną na rząd, jakoby o niezbyt godziwe praktyki i związki jego z *bankiem krajów*, na którego czele stoi także Polak, a który został koncesyjonowany przez ministra *Dunajewskiego*, że pod tą bronią potrafią zwyciężyć. Są to sprawy równie ważne, jak proste. Niemcy przez kilkanaście lat sztucznych, uludnych, a często nieczystych operacyj finansowych i giełdowych, gdy byli u steru, doprowadzili go do krachu, ruiny, a trzymali finanse państwa w niewoli swoich banków i dyktowali warunki, paśli się ludzką krzywdą i dusili wszystkich *nieniemców*. Naraz kot został odsadzony od śmietany, państwo z niewoli wyzwolone, robi operacje swoje bez nich, giełda, ożywiona, nie słucha ich; interesaruch przemysłowy dźwiga się z każdym dniem, deficyt państwowy się zmniejsza, a pomaga do tego *bank krajów*, a ludy nieniemieckie zyskują stopniowo swoje prawa narodowe. Więc rozpacz porywa hegemonów: chwycili się potwarzy, zaczęli krzyczeć, że rząd i bank krajów od nich nie lepszy, że tak samo, jak oni pierwsi, uludną grą giełdową się trzyma i t. p. Ale coż kiedy wszystkie potwarze, zostały przez rząd i przez bank krajów publicznie odparte, zbite, nie frazesami, ale dokumentami, liczbami, świadectwami nawet Niemców, cenzorów, ale ludzi uczciwych! aż wreszcie cesarz taką opozycją nazwał głośno: *przewrotną, fikcyjną*. Nie udała się sztuka. Jest zaś zacietości i nienawiść tak wielką, że nie ogranicza się na Austryę, ale sięga poza nią, gdzie tylko Słowian dotknąć może. Więc szarpali i dobrą wiarę Serbii, której interessa właśnie *bank krajów* (również jak i Czarnogóry) znacznie podniósł. Musiał minister serbski Mijatowic osobnem pismem kłamstwa zbijać. Osobny epizod w tej batalii tworzyła napaść na ministra Prażaka — bo to Czech. Lecz go Polacy i Słowenicy obronili.

Klęska ogniowa i ta klęska polityczna zepsuła ludności tutejszej dwie jej największe *passye*: uczęszczanie do teatru, które dopiero zwolna za pomocą dobroczynnych przedstawień powraca, i gwiazdkę. Ruch gwiazdkowy był znaczny, ale bez uciechy, dla zwyczajny; o zaopatrzeniu biednych dzieci jednak nie zapomniano.

Z wystaw gwiazdkowych dwie tylko były ważniejsze. W Muzeum Austr. była doroczna wystawa mająca okazać postępy w zakresie artystycznego przemysłu. Szkło, tkaniny, porcelana, przemysł w tych materyałach zrobił postępy nadzwyczajne pod względem estetycznym, ale zarazem pod względem ekonomicznym. Okazy są prawdziwie piękne, a zarazem tanie, przystępne dla średniego i małego gospodarstwa. Lecz wyroby inne, stolarskie, tapicerskie, wprowadzone zostały tutaj na zupełnie fałszywe tory. Wszędzie, gdzie przemysł artystyczny i w ogóle podniesienie rękodziel jest na porządku dziennym, należy na to zwrócić uwagę. Ktoby skromne mieszkanie z 3 4 lub 6-ciu pokoi chciał sobie urządzić według wzorów w Muzeum wystawionych, musiałby wydać summy równające się czynszowi przez 20 pomnożonemu. I byłyby to dopiero proste meble. Przechodzi to wszelką możność największej części ludności, wszędzie, i jest przeciwne zdrowym

zasadom gospodarskim. Tym sposobem nigdy się „sztuka w domu“ nie zagnieździ, a to zarówno na szkodę wytworców jak i publiczności. Odbiorcy odstraszeni bywają nadto, nie tylko ceną tych zbyt wysokich wyrobów, ale nadto jeszcze chybiącym kierunkiem stylu. Okazy są ładne, wdzięczne, ale dla codziennego użytku niepraktyczne. Okazy wystawowe pozostałyby okazami i w domu, gdyż formy archaistyczne nie licują z warunkami wygody. Meble, łóżka, szafy i t. d. są n. p. tak przeładowane rzeźbą, że ani przystępują, albo też trzeba by codziennie kilka godzin poświęcać na utrzymanie ich w czystości. Albo lichtarz z kwiatów i krętanin z ciągnionego żelaza, które raz za niezczyszczone prawie nie daje się odczyścić! Toż samo biurka: dla oka, nie dla pisania. Nikt też nie kupował, chyba rzadcy bogacze amatorzy i dwór.

Stowarzyszenie zarobkowe kobiet urządziło wystawę wyrobów uczennic szkół przez toż stow. utrzymywanych. Są to jednak już wyroby zdolne do handlu, wykonywane na zlecenia. Białe szybie wprawia panie w zachwycenie. Są też koronki, hafty, a jako podstawa wszelkiej doskonałości rysunki i malowanie ornamentacyjne. Z każdym rokiem większe postępy i większa zasługa. Jest to prawdziwa gwiazdka dla uboższej ludności. Mimo przygnębienia i smutku temperament ludności jednak z wolna odzyskuje swoje prawa. Pomaga do tego Strauss nową operetką: „Wesoła Wojna“, pomaga też i telefon. Kilkaset partytur już ze sobą w mieście z własnego mieszkania może rozmawiać. Jest to cudowne, a kto raz tego cudu skosztował, już mu bez niego, jak bez ręki; od razu staje się on potrzebą zarówno dla prędkości interesów jak i dla przyjemności. Nie mówiąc o fabrykach, bankach, handlach, ale pomyślmy sobie, że ktoś może n. p. z wszystkimi redakcjami dzienników się rozmawiać, jak to piszący te słowa doświadcza, również z przyjaciółmi, z lekarzem, a wreszcie słuchać muzyki, leżąc w łóżku i cierpiąc na migrenę lub ból zębów. Za kilka lat każdy dom mający gaz i wodociąg będzie musiał mieć połączenie telefoniczne; inaczey niktby w nim nie mieszkał. To obcowanie towarzyskie na odległość jest czemś wspaniałym, a przecież jakżeż to prostem jest całe urządzenie, tak prostem, że uwierzyć trudno! Druty idą powietrzem, lub pod ziemią, zwoje drutów w ołowiu, lub kauczuku, a każdy drut w woskowej bawelnie we wszystkich barwach. W biurze centralnem oplatają te przewody dwa koła i na nich bywają z sobą łączone według żądania, za pomocą odpowiedniego aparatu, na którym przeszło 100,000 końców drutów się schodzi na grupy podzielonych. Przy aparacie trzyma służbę 24 dziewcząt, każda pół dnia. Ktoś woła, telefonistka pyta o numer, t. j. z kim chce mówić? po odpowiedzi łączy ich druty, i już się więcej o ten duet nie troszczy, ani go nie słyszy. Służba to nudna, jednostajna, rozmawiać nie wolno, stapać trzeba cicho po dywanach, a ściany są korkową masą na grubość palca wyłożone. Połączenie z biurem, a przez biuro z wszystkimi abonentami dla kogoś odległego o dwa kilometry kosztuje 200 zhr. na rok. Jeden telefon w domu może służyć dla wszystkich mieszkańców, więc może bardzo drobna summa na jednego wypaść. Jest to istne czarodziejstwo, które kiedyś zmieni cały ruch towarzyski, a już dziś od razu zmniejsza potrzebę fiaków, posłańców, telegramów, listów....

Wykłady ściągają zawsze licznych słuchaczy, tem liczniejszych, że bywają bezpłatne, i że wielu ludzi boi się jeszcze widoków, więc bodaj na wykład pójść woli, niż siedzieć cały wieczór w domu — nie w knajpie. Dwa wykłady szczególnie wielkie obudziły zajęcie: prof. Suessa o wychowaniu, i prof. Kosniawiego o przemyśle domowym u Słowian. Są one i dla nas bardzo zajmującymi, w obu są rzeczy, albo jakby z naszych własnych myśli wyjęte, albo nowe. Nie chcę jednak przedłużać tego listu ich streszczeniem, a warto je obszerniej przedstawić: więc wolę to uczynić osobno.

PRZEGLĄD ARTYSTYCZNY

przez

Bronisława Zawadzkiego.

(Dalszy ciąg.)

Panny *Butowl-Andrzejkiewiczówny* duży obraz: „Władysław Łokietek w Ojcowie“ przedstawia dzielnego króla w dobie tułaczey jego życia, kiedy w grocie ojcowskiej ukrywać się musiał przed drapieżnym współzawodnikiem tronu. Wśród chropowatych i zimnych głazów ciemnej pieczary leży strudzony król całym ciężarem potężnej, rycerskiej, niezbyt historycznie pomysłanej, postaci. W głębi planu jakaś osoba podaje przez mały otwór kosz z jadem pacholukowi towarzyszącemu w tułactwie swojemu panu. Kompozycja dość uboga, ale w prostocie jej i ubóstwie szczegółów jest pewna niezaprzeczone siła elementarna. Obraz ma też zamało treści wewnętrznej. Malowanie jednak posiada wysokie zalety techniczne; znać pędzel wytrawny i wyrobiony. Ton surowy, poważny i głęboki licuje z charakterem motywu; jeżeli można obraz ten nazwać historycznym, to raczej dzięki technice malarskiej, wytwarzającej efekt stylu historycznego, niż samej treści, która przypomina historią chyba rysztynkami zbroi; samą postać bowiem króla Łokietka inaczey kreślą dzieje. U panny *Andrzejkiewiczówny* jest to raczej kosmopolityczny bohater, którego można by snadniej nazwać Rolandem lub Zygfrydem, niż naszym Łokietkiem.

Romana Szwojnickiego: „Karabela czy szpada“ wyobraża zmierzenie się szablami dwóch młodzieńców, z których jeden w żupaniku ojczystym, drugi w peruce i harcapiu. Raz już dawniej artysta użył skutecznie podobnego motywu zestawienia dwóch światów za pomocą kontrastów sukni, w raz oblicza i rycerskiego animuszu. Naturalnie, że przewaga siły i zręczności po stronie urodzonego, czerstwego młodziana w żupaniku; Francuzowi wypada szpada z ręki. Najlepszą figurą jest kontuszowy starszek niby „sodalis marianus“ siedzący w fotelu i przypatrujący się z zadowolaniem śmiało i zgrabnemu natarciu rycerskiego młodzieńca. Figura z harcapiem trochę sztywna i drewniana w rysunku. Zresztą pomysł sytuacji trafny i charakterystyczny; w malowaniu jest wiele energii i kolorystycznej werwy przechodzącej wszakże niepotrzebnie w jaskrawość tonu traktowanego zaszereko. W obrazach p. Szwojnickiego tej treści uderza mile pewien szczerzy animusz rycerski.

Józef Ryszkiewicz wystawił bardzo udatny obrazek rodzajowy: „Przed cyrulikiem“. Znajdujemy się na rynku miasteczka, wśród brudnych i koszlanych żydowskich ruder. Przed jedną z nich, służącą za oficynę cyrulikowi, stanęło trzy zbite szarugą konie, a jeźdźcy udali się do izby, przez której drzwi otwarte widać operację rwania zębów. Z podwórza przypatruje się jej parę charakterystycznych figur: inwalida, szewczyka, kilku kobiet i t. d. Na dworze deszcz i ślota. Kompozycja technicznie szczerą prawdą realną; figury wychwycone zręcznie z typowej galerii małomiasteczkowego proletaryatu; grupa naturalna; całość ma odpowiedni charakter i temperament. Obraz ten należy do lepszych kompozycyj rodzajowych, jakie pojawiły się w ostatnich czasach na wystawach warszawskich. *Włodzimierz Łosia*: „Odpoczynek kozaka“ ma właściwą expressyę, ale motyw nazbyt zużyty i jałowy.

Z pomiędzy licznych krajobrazów przedewszystkiem zwraca uwagę śliczny: „Poranek“ *Zygmunta Sidorowicza*. Błady, stalowy blask świtu rzuca się łagodnie na kępy drzew ugrupowanych z pełną prostotą i fantazyją malowniczością ponad wodą, wijącą się krętem łożyskiem. Ciemno jeszcze — kolory zaledwo poczynają się nieśmiało dobywać. Cała wartość obrazu w expressy; zdawało by się też, że artysta całą duszę przelał w ten półseny poemat przyrody, liczący się do najcen-

niejszych i najrzowniejszych razem kompozycji przedewszystkiem zgasłego talentu. *Władysława Małeckiego*: „Brzeg Wisły pod Warszawą“ posiada wszystkie zalety tego subtelności i wytwornego pędzla. Przedmiot ujęty ze strony mniej poetycznej, a jednak mimo realizmu i prozy szczegółów, malarz wydobyl zeń wdzięk i estetyczny pierwiastek. Najnowsze krajobrazy morskie *Nadziei Pane* nie noszą widocznych śladów postępu. „Widok Neapolu“ traci nawet pewną manierę; natomiast: „Pałac królowej Joanny w Neapolu“ ma zajmujące szczegóły techniczne, jak n. p. mieszanie się dymu Wezuwiusza z mrokiem nocnym prześwietlonym bladem promieniami księżyca.

W zakresie studyów z natury wyróżnia się kilka obiecujących zdolności; na uwagę zasłużyły zwłaszcza *Stan. Lentza* pełen charakteru i werwy braciszek zakonny, *Fran. Eismonda* mnich zażywający tabakę pod godłem: „Aby tylko w dobrem zdrowiu“, *Anny Bilińskiej* rozczochrana dziewczynka z owocami energicznie malowana, wszakże z błędami rysunku, *Pawła Merwarta* piękne studium Hiszpanki, a nareszcie duży portret kobiety *Witolda Urbańskiego*, traktowany dość twardo i ostro, ale mający wiele prawdy w wyrazie twarzy i chwalebny precyzyą w kolorycie.

Artur Grotger, którego coraz więcej olejnych robót właściciele salonów artystycznych z nieznanego ukrycia wydobywają, jest autorem obrazu pełnego wdzięku i duszy: „Zygmunt August i Barbara“, który oglądamy na bogatej zawsze wystawie p. Krywulta. Noc szeroka, złocista tarcza księżycowa wylewa strugę bladego światła w łono przestrzeni tchnącej tajemniczością mistyczną i rzewną melancholią. Nim powiemy słowo o grupie, musimy złożyć wielkiemu poecie pędzla hołd za ten krajobrazowy stafaż, który poetycznością kompozycji, szczerością liryzmu i prawdą ogólnego nastroju przypomina wzruszające smutki pejzażów Ruysdaela i należy do estetyczniej pomysłanych i najserdeczniej odczytanych motywów przyrody, na jakie zdobył się nasz pędzel rodzimy. Pejzaże nasze w ostatnich czasach coraz otwarciej zdradzają poządlwość efektu i kokieterią błyskotkami, które dziwią, ale nie rozgrzewają. Krajobraz Grotgera technicznie nieskończoną prostotą, parę smukłych drzew i ta mgła srebrna, płynąca od księżyca, która przepaja atmosferę i stopniowo zapada za kotarę ciemności: oto cały rysunek szczegółów, z których Grotger wywiązał śliczną symfonią barw upajającą łagodnie i rzucającą duszę pomimo jej woli w topiel marzycielstwa. Wartość obrazu Grotgera nie tu się kończy. Grupa Zygmunta i Barbary, cobykolwiek powiedzieć było potrzeba o rysunku figur lub o perspektywie ogólnej, ma też swoje niemałe piękności w psychologicznej expressy. Król objął Barbarę w ramiona, ona wlepiła weń spojrzenie miłości tak czulej, tak głębokiej, że chyba Dant w swoją Beatrycę patrzył z podobnym rozmodleniem serca, jak ona w niego. Usta ma otwarte: widocznie mówi coś do króla, a on jej chciwie słucha, łowiąc w powietrzu każdy wyraz, dźwięczny dlań jak melodye cherubinów. Tu znowu Grotger dowiódł nie tyle mistrzostwa artystycznego (gdyż oprócz gry uczuć przesłicznie odmalowanych wszystko tu dość zwyczajne, a nawet trochę szablonowe), jak porywającej siły swego talentu w malowaniu połotów serca i ducha. Obraz ten świadczy o potędze geniuszu zarówno silnie, jak znane jego arcydzieła kredkowe. Atmosferą czystych upożeń serca technicznie ten romantyczny nokturn rzucony na tło bladych połysków i cichych szmerów ogrodu, który roztacza się pod krążankiem. Pod względem techniki malarskiej nie przedstawia obraz Grotgera nie zajmującego; wartością jego w tym kierunku jest conajwięcej ton jednolity w kolorycie.

Jana Matejki: „Chrzest Warneńczyka“ należy do najstaranniej wypracowanych, rzekłbym wypieszonych, kompozycji krakowskiego mistrza, który w ostatnich czasach przesyłał na wystawy warszawskie przeważnie szkice. Po „Nieszczęśliwych zalotach Olbrachta“, które uważamy za najslabsze dzieło artysty od chwili, gdy zajął olimpijską wyżynę w dziedzinie krajowego malarstwa, obraz to zdolny zatrzeć wszelki ślad pesymistycznego wrażenia, jakie wywołać musiał

tamten. Widzimy tu nagromadzenie wszystkich czynników zapewniających obrazom Matejki ich pierwszorzędną i oryginalną wartość. Duch historyczny z Długosząw iście powagą osiadł na płótnie wyobrażającym z całą dekoracyjną malowniczością ceremoniał kościelny. Wiadomo zaś, że Matejko jest mistrzem ceremoniału historycznego, i że każdy jego obraz tej treści jest świadectwem szlachetnego współzawodnictwa erudyty, czującej się w atmosferze form i żywiołów historycznych, „jak u siebie“, z śmiałością, twórczością i prawie nieomylną intuicją. Znajdujemy się u wnieścia katedry wawelskiej. Wzdłuż obrazu prowadzą schody i balustrada, a wzdłuż tejże posuwa się stopniami wschodów orszak obrzędowy. Ceremonii chrztu dopełnia biskup krakowski Zbigniew Oleśnicki, a trzyma dziecię w imieniu papieża Marcina V, Mikołaj Doliwa Głębocki, archidyakon poznański. Książęta Kościół, posłowie mocarstw zagranicznych, dygnitarze i rycerstwo otaczają królewskie dziecię w pieluchach, a o parę kroków w tyle stoi król Jagiełło, postać przepysnie charakterystyczna, tudzież kłęczy królowa Zonka, księżniczka ruska, która zmrużyła oczy i nachyla się, jak do pokłonu, wedle zwyczajów kościoła wschodniego. Widzimy tu jeszcze królowę Elżbietę i grono kobiet dworskich. Ogólna expressya obrazu tchnie spokojem i pewnem uroczystem namaszczeniem. Może układ grupy jest nieco monotonnym, może byłoby lepiej uniknąć tego szpaleru osób, wstępujących na schody, przez co symetrya obrazu wydałaby się mniej skrupowaną; ale przechodząc od zbiorowego efektu grup do ich części składowych, nie można się dość napodziwiać plastycznej energii i twórczej pomysłowości, z jaką mistrz kładzie na płótno swoje postacie, na zasadniczem tle *sily* właściwej obliczom i postaciom średniowiecznym, rozciągając wielkie bogactwo indywidualnej charakterystyki, umiejającej wybornie liczyć się z różnicami typów narodowych; zwłaszcza poselstwo litewskie, tudzież Zawisza Czarny, są przepysnymi studjami głów historycznych, a w innym rodzaju nie mniejszej ceny jest oryginalny profil Jagiełły. Obraz malowany jest z rzadką ścisłością i precyzją pędzla, wydobywającego sumienie i charakterystycznie każdy szczegół. Czyż mamy powtarzać, że cały dobór akcesoryów kostiumowych został odtworzonym z właściwem Matejce bogactwem form i porywającą malowniczością układu? Pod tym względem każda figura z osobna jest doskonałym studjum akademickim. Ton kolorytu wydał nam się trochę zajaskrawym, zasafranowym; uniknięcie niektórych jaskrawości mniej koniecznych, nadanie przewagi tonom fioletowym i oliwnym uszlachetniłoby charakter i spetęgowało urok powagi dzieła.

Obraz *Kazimierza Pochwałskiego*: „Dwie wdowy“ ukazują nam talent artysty dotąd mało znanego, w świetle bardzo pochlebnem, rzucającem jasną perspektywę na przyszły jego rozwój. Przedstawia on spotkanie się dwóch cierpień macierzyńskich pod bramą kościoła, który był zawsze dotąd najskuteczniejszym balsamem dla dusz zboliałych i nieszczęśliwych. Ze schodów wiodących do świątyni, schodzi młoda, piękna wdowa w grubej żałobie, prowadząca córeczkę także czarno ubraną i bolejącą nieświadomie może temsamem cierpieniem sieroctwa co matka. Na schodach usiadła żebraczka ślepa, grająca na harmonijce, a obok niej para dzieci: chłopczyk i dziewczynka. Jeżeli w ogóle czystość malowania, poprawność rysunku, prostota kompozycji, szczerść charakterystyki, smak w kolorycie i delikatność w prowadzeniu pędzla, cechują ten wzruszający i wykwinny w niektórych szczegółach techniki obraz, to para owych dzieci żebraczki stanowi dwa klejnociki pod względem expressyi psychologicznej i prawdy uczucia, dziwnie jasno, silnie i przekonująco się tłómaczącego: te dzieci takie drobne, a takie dojrzałe smutkiem, takie już roztropne i przesycone boleścią życia, takie chore duszą, pragnącą wyrwać się z wynędzniałego ciała i nieszczęsnego życia gdzieś, niewiedzieć gdzie, byle mniej głodu, zimna i łez tam było—te dzieci, powiadam, blade, machinalnie i obojętnie na świat patrzące, pozwalają rokować p. Pochwałskiemu

piękny rozwój zdolności w zakresie malarstwa psychologicznego.

(Dokończenie nastąpi)

Korrespondencja zagraniczna.

Lwów w Grudniu 1881 r.

Srodki przedsięwzięte w teatrze dla zabezpieczenia publiczności na wypadek ognia.—Smutne dzieje budowy teatru lwowskiego.—Odczyty zimowe.—Wykłady ks. Siemiefskiego o „Mickiewiczu”.—Kłopoty miejskie.—Drożyzna mięsa i innych wiktuałów.—Kommissya „Approwizacyjna magistratualna”.—Stowarzyszenie spożywcze.—Ubozdy.—Bazar świąteczny księżny Sapieżyny.—Rytmy Teofila Lenartowicza.—Nekrolog literacki.—Różowe domino.—*Niewolnik*, tragedia z czasów rzymskich, przez Bolesława Czerwińskiego.—Wystawa robót kobiecych.

Pożar teatru, który niesłychaną kłęką dotknął Wiedeńczyków, przeraził w najwyższym stopniu i naszą także publiczność. Wiadomość o śmierci posła Pągowskiego i kilku innych Polaków, spetęgowała jeszcze, jeżeli można było, tę wieść Hiobową, która wszystkich ogarnęła przerażeniem i spłóczuciem dla nieszczęśliwych ofiar straszliwego wypadku. Zwrócono uwagę na zabezpieczenie nie od czegoś podobnego teatru lwowskiego, chcąc tym razem, wbrew przysłowiu, uprzędzić szkodę. Prezydent miasta, urząd budowniczy i miejski, wespół z władzami bezpieczeństwa, zajęli się obmyśleniem i zaprowadzeniem wszelkich środków ostrożności, jakie przezorność i doświadczenie wprowadzić nakazywały. Kommissya umyślnie w tym celu złożona, z prezydentem miasta na czele, zwiędziła po dwakroć bardzo szczegółowo całe zabudowanie i wszystkie urządzenia teatralne, aby uczynić co się da, przy wadliwym rozkładzie budynku, dla zabezpieczenia publiczności na wypadek ognia. Przedsięwzięto skutkiem rzeczonych oględzin kommissyjnych, różne zmiany odpowiednie celowi, mianowicie pomnożono liczbę drzwi wychodowych z parteru, uproszczono wnieścia prowadzące przez wązkie a kręte kurrytarze do krzeseł; zaprowadzono w całym teatrze oświetlenie olejne, tak, iż tylko jeden główny żyrandol będzie naprzyszłość gazem oświetlony. Jest to reforma nadzwyczaj ważna, którą-by wogóle we wszystkich teatrach zaprowadzić należało; statystyka albowiem pożarów teatralnych, których liczba pomnożyła się w uderzający sposób w ostatnim pięćdziesięcioleciu, od czasu zaprowadzenia oświetlenia gazowego, wykazuje, iż powiększej części, podobnie jak i obecnie w Wiedniu, gaz był ich przyczyną. Pod tym względem teatr lwowski będzie więc odtąd bezpiecznym. Trudniej zaradzić wadliwemu z gruntu rozkładowi budynku. Trzeba było genialnej rzeczywiście fantazyi, połączonej z niesłychaną nieporadnością, aby wymyślić taki labirynt kurrytarzy i kurrytarzyków, schodów i schodków, kręcących się wężykami w różnych kierunkach, obok mnóstwa innych niedogodności, jakimi odznacza się budowa teatru lwowskiego, tem dziwniejsza, iż budując gmach nowy, posiadano wszelkie warunki urządzenia go w sposób jaknajlepszy. Gdy ś. p. Skarbek otrzymał od miasta przywilej na budowę gmachu teatralnego, umówił się o wykonanie tej budowy z ówczesnym dyrektorem urzędu budowniczego miejskiego, Niemcem, Salzmanem, i wysłał go swoim kosztem na dłuższy czas za granicę, aby zwiędził wszystkie znakomitsze teatra europejskie i poznajomiwszy się dokładnie z ich urządzeniem, stworzył plan nowego teatru, posiadający wszystkie zalety tamtych teatrów, z pominięciem ich wad i niedogodności. Pan Salzman puścił się tedy w podróż po Europie; zwiędził najpierw medyolański *la Scala*, następnie inne teatra włoskie, paryzkie i niemieckie, i z wszystkich tego, co widział, stworzył plan teatru lwowskiego, będący szczególniejszą osobliwością w swoim rodzaju, a przytem dobrą, że tak powiem, pomnikową, ilustracją, w jakim-to ręku spoczywały sprawy miejskie w onych czasach germańsko-meternichowskiej na duami kurateli. Pan Salzman piał

stował jeden z najważniejszych urzędów w mieście, będąc dyrektorem biura budowniczego, i uchodził za najzdolniejszego w Galicyi w tym zawodzie: a przecież cóż to za dziwoląg architektoniczny, zarówno pod względem stylu, jak i rozkładu wewnętrznego, wyszedł z pod jego cyrka! Dosyć powiedzieć, że główne frontowe schody i kurrytarze wiodące nietylko do teatru, ale do całego gmachu, nie mają okien i przez cały dzień muszą być oświetlane lampami, że wejścia prowadzące do amfiteatru, są prawdziwym labiryntem z wazutkich przesmyków złożonym i t. d. Zdaje się jakby budowniczy, wbrew swemu zadaniu, przedsięwzięł zgromadzić tutaj na wzór wszystkich razem skombinowane wady teatrów europejskich, a pominąć ich zalety, jakby, dla odstraszącego przykładu dla potomności, co tembardziej zasługuje na potępienie, iż tworząc plan zupełnie nowy, nie był niczem skrupowany i miał sobie pozostawione zupełnie otwarte pole stworzenia jaknajdogodniejszego rozkładu. Jeden tylko warunek stawiał ś. p. hr. Skarbek budowniczemu, ten mianowicie: aby gmach teatralny, oprócz teatru, obejmował jeszcze znaczną liczbę pomieszczeń i sklepów, których wynajem wynosiłby dochód potrzebny na utrzymanie gmachu teatralnego, a nadto na zasilanie jakąś znaczniejszą kwotą roczną dobroczynnej fundacyi Drohowyżkiej. Stosownie do tego celu ustąpił teatr na drugi plan i schował się pomiędzy otaczające go z czterech stron, niby miasteczko jakie, zabudowania mieszkalne gmachu. Utrudniło to zapewne budowniczemu rozkład całości i nie dozwoliło umieścić samego teatru tak wygodnie, jakby tylko można było najdogodniej, gdyby budynek jedynie był na to przeznaczony. Jednakowoż nie usprawiedliwia to rozkładu takdalece niedogodnego, jaki wymyślił ostatecznie p. Salzman. Co do stylu architektonicznego, teatr hr. Skarbka także szczególnie się przedstawia. Jest to olbrzymie czworograniaste pułdo trzypiętrowe, którego jedyną ozdobą i godłem był ustawiony nad gangiem frontowym na dachu Apollo na wozie, z czterema rozhukanemi zaprzężonymi końmi. Grupa ta rzeźbiona z drzewa i na biało polakierowana, przywieziona aż z Włoch, gdzie ją na zamówienie hr. Skarbka wykonano, była jedyną oznaką przeznaczenia gmachu; ale cóż, kiedy złowrogie wichry ostrego naszego klimatu, pozazdrościły mu tej ozdoby, i razu pewnego, podczas silnej burzy, spadł z dachu z kretelem grecki ów, czyli raczej włoski, Apollo na bruk lwowski, a że tak on jak rumaki jego w tem *salto mortale* dosyć szwanku odniosły, umieszczono zatem całą grupę z nadłamanymi nogami i przerzedzonymi grzywami na strychu, w kącie, gdzie dotąd w pyłe i zapomnieniu spoczywa, świadcząc o znikomości rzeczy ludzkich. Tym sposobem teatr lwowski pozbył się mitologicznego godła, a ktoś obcy, widząc po raz pierwszy ów rozległy budynek, nie łatwo mógłby się domyśleć, że się w nim kryje muz świątynia.

Niebezpieczeństwa pożaru nie można się wszakże obawiać. Wprawdzie rozkład teatru niedogodny i nie posiadamy tych urządzeń ku zapobieżeniu kłęsce, jakie znajdowały się w teatrze wiedeńskim, z których nie skorzystano w poplochu, przez karygodne niedbalstwo, ale brak ten zastępuje w naszym teatrze przezorność i czujność. Trzeba oddać sprawiedliwość p. Miłaszewskiemu, że jako sprężysty dyrektor, poczuwający się do swych obowiązków, nie od tego wypadku dopiero, ale i pierwej zawsze zwracał najpilniejszą uwagę na to, aby podczas przedstawienia były w pogotowiu pod ręką wszystkie srodki do gaszenia pożaru. Na scenie są zawsze ustawione sikawki, a za kulisami czuwa oddział straży pożarnej, który w razie wypadku ognia, nie straciłby zapewne przytomności i nie okazał się tak bezradnym, jak niedołączna służba teatralna w spalonym teatrze wiedeńskim. Obecnie połączono jeszcze drutem telegraficznym scenę, z główną strażą pożarną w ratuszu i ma być sprawiona kurtyna druciana.

Rozpoczęły się już, jak zwykle pod zimę, rozmaite treści i rozmaitego przeznaczenia odczyty. Towarzystwo Pedagogiczne urządza je dla kobiet w wielkiej sali ratuszowej, która zazwyczaj liczenie się zapewnia, albowiem uczęszczają na nie

oprócz innej publiczności, z obowiązku niejako wszystkie nauczycielki tutejszych szkół ludowych i uczennice wyższych szkół żeńskich i zakładów prywatnych. Programmat tych odczytów na rok bieżący jest dosyć urozmaicony. zawiera przedmioty z historii, literatury i nauk przyrodniczych, zajmujących tu zawsze przeważnie miejsce. Jeden z młodszych profesorów, p. Próchnicki, miał dwa odczyty o *Panu Tadeuszu*. W dalszym ciągu zapowiedziane są odczyty pp. Zygmunta Sawczyńskiego, inspektora szkół Baranowskiego i pani Felicy Boberskiej która ma mówić o znakomitych ludziach epoki Zygmunta Augusta.

W stowarzyszeniu rzemieślniczym „Gwiazda“ szereg odczytów, zastosowanych treścią do tego koła słuchaczy, dla których są przeznaczone, rozpoczął Dr. Tadeusz Żuliński wykładem *Hygieny rzemiosł*, rozłożonym na kilka godzin. Przedmiot bardzo ważny przez to, iż wchodzi szczegółowo we właściwości różnych rzemiosł i praktycznie wskazuje sposoby zapobiegania przez stosowne zachowanie się złym wpływom, jakie na zdrowie rzemieślnika zatrudnienie jego wywiera.

Trzecią seryą odczytów na cele dobroczynne rozpoczął ksiądz Siemieński. Wybrał on sobie przedmiot nadzwyczaj sympatyczny i zajmujący; postanowił bowiem w szeregu odczytów skreślić biografią Adama Mickiewicza, opartą na jaknajścisłym szczegółowym zbadaniu całego przebiegu życia poety, czego dotąd nikt nie uczynił. A przecież wszystko, co się odnosi do Mickiewicza, cokolwiek odśloni nam może jego usposobienia, zajrzeć w głąb tej gorącej, wielkiej duszy i genezę natchnień objaśnić. Ma dla każdego polskiego serca urok niezrównany. Któżby nierad najdrobniejsze nawet posłyszec szczegółów? Z rozkoszą czytamy listy Odyńca, wiadomości o ojcu, podane przez panią Górecką i wszystko, co gdziekolwiek o Mickiewiczu się znajduje, chwytny ciekawie. Nie dziw zatem, że i wykład ks. Siemieńskiego rozciekawiał swą treścią, tembardziej, że prelegent zapowiedział całość, ułożoną z porównawczego zestawienia wszystkich dotąd podanych szczegółów przez Odyńca, panią Górecką i innych, z dodatkiem wielu nowych, własnym staraniem wydobytych. Ksiądz Siemieński zabrał się bardzo starannie do przedsięwziętego dzieła. Chcąc sprawdzić datę i miejsce urodzenia Mickiewicza, przebieg jego wychowania, nauki szkolne i uniwersyteckie i t. d., odniósł się do metryk parafialnych w Nowogródku, do archiwów wileńskich, do rodziny i do wielu rozmaitych osób, mogących dać rozmaite objaśnienia, i z takiego-to materiału, osnuł swą monografią. Pierwszy wykład poświęcony był całemu prawie rozpatrzeniu spornego pytania: gdzie się Mickiewicz urodził? Wiadomo, że za miejsce urodzenia jego uważano Nowogródek, w czem zgadzały się podania ogłaszane drukiem, jeszcze za życia Mickiewicza i on sam nigdzie temu nie zaprzeczył. Później jednakże, z bardzo wiarogodnych źródeł zaczerpnięte, powstało mniemanie, że wielki poeta przyszedł na świat, nie w samym Nowogródku, lecz z pobliskiej wsi Zaosiu. Oto pytanie, które ks. Siemieński drobniawo rozbił w pierwszym swym wykładzie, i doszedł do wyniku na korzyść Zaosia, lubo dosyć mocne skazówki i za Nowogródkiem przemawiały, jak mianowicie metryka chrztu z ksiąg metrykalnych tamtejszych, staraniem ks. Siemieńskiego wydobyta.

— Gdzież więc urodził się, w Nowogródku czy w Załosiu?— spytałem wychodząc z prelekcji mego sąsiada, znanego indyferentystę w rzeczach archeologii i tem wszystkim, cokolwiek na nią zakrawa.

— Gdziebądź— odrzekł— zawsze to bardzo dobrze, że się urodził.

Miał słusność, mój sąsiad, przyznaję. Gdziekolwiek światło dnia ujrzał wielki poeta, to bar-

dzo dobrze i przedewszystkiem dobrze, że się urodził i blaskiem natchnienia, słońcem geniuszu rozproszył ciemności nocy na widnokręgu literatury, stworzył nową epokę poezji i wulkanicznym żarem słowa ożywił piersi słuchaczy.

W następnych wykładach skreślił ks. Siemieński, młodość Mickiewicza, i przełożył kopią świadectw jego szkolnych, z których okazuje się, iż przysły poeta celował zawsze w fizyce, naukach przyrodniczych i historii powszechnej. Mówiąc o czasach wileńskich, skreślił prelegent treściwie dzieje związku Filomatów, odczytał ich *prawdła* i na tej podstawie, wyluszczył ducha i znaczenie tego stowarzyszenia, mającego moralno-społeczne cele duchowego uszlachetnienia. Wykład ks. Siemieńskiego, ilustrowany częstym przytaczaniem wyjątków z poezji Mickiewiczowskich, stają się z samej już natury treści w dalszym swym ciągu corazbardziej zajmującym.

Mamy więc dzięki Bogu podostatkiem pokarmu duchowego pod zimę; ale o chleb powszedni coraz trudniej. Drożyzna wzrasta z dniem każdym w niesłychanym stopniu. Uchwalona w Radzie Państwa ustawa zabrania z obawy zarazy sprowadzania od Nowego Roku bydła z Cesarstwa Rosyjskiego, którem-to byłem głównie żywił się dotąd i głównie posługiwali się nasi gospodarze przy uprawie roli. Zakaz ów dotknął więc narazie zarówno gospodarzy wiejskich, jak i nas mieszczan. Zapowiadają, że po Nowym Roku płacić będziemy musieli po guldenie za kilo sztuki mięsa. W rozpaczy nasze kucharki—w rozpaczy gospodynie; ale najbardziej podobno rozpaczają w cichości duszy panowie mężowie, na których ostatecznie spadnie całe brzemie i wszelkie następstwa owej drożyzny. Co najgorsza, że gdyby się takie podwyższenie ceny mięsa rzeczywiście po Nowym Roku okazało, w takim razie uboższa ludność miejska, wyrobnicy, ubożsi rzemieślnicy i cała ta rzesza pracowita, żywiąca się obecnie po części przynajmniej mięsem, będzie go pozbawiona i zmuszona żywić się czemś tańszym i mniej posiłnym, co przy pracy złe skutki na stan zdrowia powszechnego niezaprzeczenie-by wywarło.

Ale nietylko mięso drożeje: wszystkie wiktuały podnoszą się w cenie, chociaż trudno wytłómaczyć przyczyny podrożenia ceny bułek i chleba, gdy ceny zboża, mianowicie pszenicy i żyta, znacznie spadły od dwóch miesięcy. Ale już to tak jest od czasu jak zapamiętam, że wszystko zawsze idzie w cenę w górę, a nigdy nic nie tanieje. Gdy zboże podrożeje, piekarze podnoszą, rzecz naturalna, cenę pieczywa i wypiekają coraz mniejsze bułki—gdy zboże stanieje, piekarze pomimo tego, nie zniżają ceny pieczywa, usprawiedliwiając się, że posiadają zapasy zboża i mąki, nabytej jeszcze przedtem po cenie wysokiej; przeto nie mogą taniej sprzedawać chleba z tej mąki wypieczonego, albowiem ponieśliby stratę. Nim się wyczerpią owe, za drogie pieniądze zakupione zasoby, gdy zgłodniała publiczność już tańszego chleba i większych spodziewa się bułek, nadchodzi przednówek; zboże idzie w górę i pieczywo pozostaje znów w tejsamej cenie lub nawet jeszcze bardziej drożeje. Podobnie jak z pieczywem dzieje się i z innymi wiktuałami. Znajdujemy się pod względem cen żywności, jakby w zaczarowanym kole, z którego podobno do śmierci nie wyjdziemy. Jesteśmy pod jarzmem monopolu panów rzeźników, piekarzy i tych wszystkich, co zaopatrują niezbędne do zaspokojenia głodu potrzeby nasze, a monopol ten do tego stopnia stał się już uciążliwym i takie przybrał rozmiary, iż wywołał nadzór władz miejskich. W magistracie tutejszym zawiązaną została, pod przewodnictwem prezydenta miasta, *kommissya approwizacyjna*, mająca obmyśleć sposoby tańszego zaopatrzenia miasta w żywność. Należą do jej składu obywatele miejscy, radcy

magistratu, członkowie Izby Handlowej i Rady Zdrowia i t. p. Jakże będą skutki obrad i czynności kommissyi, jakie ona postanowi środki ku złagodzeniu drożyzny dzisiejszej i sprowadzeniu cen żywności do sprawiedliwej miary? czas to okaże i trudno dzisiaj przesądzać, skoro jeszcze żadnych potemu nie mamy wskazówek. Nie ulega jednak wątpliwości, że jedynym właściwym przeciw drożyźnie i nieuprawnionemu monopolowi środkiem, według zasad zdrowej ekonomii jest *spółzawodnictwo*, będące najlepszym regulatorem cen wszystkich. Jedną nowozałożoną piekarnią z dostatecznym kapitałem, dostarczającą dobrego i po słusnej cenie pieczywa, lepiej zaradzi drożyźnie, niżeli jaknajsubtelniej obmyślane rozporządzenia, dające się w rozmaity sposób obejść lub sparaliżować. Takim-to hamulcem na drożyznę i regulatorem cen jest do pewnego stopnia *Stowarzyszenie spożywcze*, które przy pomyślnym rozwoju może z czasem pokona u nas drożyznę wiktuałów. Kilka-kroć razy próbowano już we Lwowie zawiązywać tego rodzaju towarzystwa. Z początku atoli nie udawały się próby. Przed laty dziesięciu zbankrutowało ówczesne Stowarzyszenie Spożywcze, z przyczyny złego zarządu; dzisiejsze, wskrzeszone przed sześciu laty, wszedłszy na dobrą drogę, rozszerza się i potężnieje, zyskując coraz więcej członków, tak, iż czynność jego obecna przerasta granice pierwotnie zakreszone. Towarzystwo nasze posiada na własną rękę sklep korzenny, pozostający niemal w obłączeniu od rana do wieczora, gdzie się sprzedaje wszystko członkom stowarzyszenia, po tańszej, niż gdzieindziej, cenie; posiada oprócz tego piekarnię i wielkie składy własne, sprzedaje oprócz wiktuałów, po cenach niższych: drzewo, mięso, naftę, węgiel: słowem wszystko to, co w domowym potrzebne gospodarstwie. Sklep jeden już nie wystarcza: okazuje się gwałtowna potrzeba założenia drugiego, w innej dzielnicy miasta, dla wygody mieszkańców oddalonych od śródmieścia. Towarzystwo, nietylko dostarcza tanich wiktuałów, ale przy tak wielkim, jak obecnie, obrocie handlowym, zapewnia jeszcze z końcem każdego roku, obliczoną według dochodów, dywidendę czystego zysku swym członkom. Jest ono najlepszym dowodem, co znaczy w każdej rzeczy umiętny i energiczny zarząd. Dawniejsze stowarzyszenia spożywcze tutejsze miały teżsame warunki powodzenia i początkowo równie chętnie zaczynano się garnać do nich: a przecież upadały, jedynie z winy niedbalstwa zarządu. Pieczywo wypiekano coraz gorsze, wiktuałów dostarczano zepsutych, czem odrzeczono wkrótce wszystkich od stowarzyszenia; dochody corazbardziej się zmniejszały zamiast wzrastać, a koszta administracyi pozostawały teżsame. Przy braku dochodów, zamiast pociągać towary hurtownie z pierwszej ręki, co jedynie sprzedaż takowych po taniej cenie umożliwia, pobierano je w innych tutejszych sklepach korzennych, wbrew głównej zasadzie, stanowiącej fundament stowarzyszeń spożywczych. Niedziw, że przy takiej gospodarce niepodobna było do pożądanego doprowadzić celu, a upadek koniecznie nastąpić musiał. Rozkwit Stowarzyszenia Spożywczego dzisiejszego wymownie za użytecznością takich towarzystw świadczy.

(Dokończenie nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się 1-szy arkusz powieści pod tyt.: **Stoczona walka.**

TPEŚĆ. Z Musseta, (poezya). — Adam Asnyk, biografia, (dokończenie), przez Maryą Iinfką. — Na Bialskim zamku, powieść historyczna, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Wiedeń). — Przegląd artystyczny, (dalszy ciąg), przez Bronisława Zawadzkiego. — Korrespondencya zagraniczna, (Lwów).